Nr. 49. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 5. Grudnia 1846.*



Góra Sinai,
podług podania Dra Robinsona.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai.

(Ciąg dalszy.)

Wprawdzie byliśmy już teraz wyswobodzeni od śmierci z pragnienia, albo przynajmniéj od większych cierpień, ale za to nie znaleźliśmy jeszcze ani miasta, ani świątyni Rzymian, co właśnie było naszym zamiarem, gdyśmy w te góry wchodzili. Wszystkiego tego nie chciał professor Lepsius zaniechać, przeto przeznaczyliśmy dzień następny, 18. Marca, na odszukanie tych pamiątek, które nam dawniejsi podróżni opowiedzieli. Karawana ruszyła ku północy, ażeby się dostać do źródła Moie-Mezaid, gdzie mieli oczekiwać na mnie i prof. Lepsiusa, którzyśmy się z 2. Arabami na południe udali. Z początku zamyślaliśmy za pomocą naszych Arabów owe chaty wynaleść, zkądbyśmy mieli drogoskazy do oznaczonego miejsca, lecz w drodze napotkaliśmy 2. pasterzy, paszących trzodę wielbłądów, z których jeden się odważył także nas zaprowadzić; było to w wielkiéj dolinie, nazwanéj Wadi-Siddereh, zaraz na początku. Teraźniejszy nasz przewodnik prowadził nas znów napowrót około miejsca naszego ocalenia, z doliny w dolinę, aż wreście po trzygodzinnéj podróży, zobaczyliśmy miasto w ruinach, wielką studnię i świątynię. Zszedłszy z wielbłądów przebiegaliśmy zwaliska pieszo; na słupach otaczających studnię, spostrzegliśmy wyrzniętych wiele imion podróżujących, gdzieśmy i nasze umieścili. Do świątyni weszliśmy po 20 stopniach; jest ona wybudowaną z granitu za czasów cesarza Hadriana, o czém świadczy dość długi grecki napis, na architrawie umieszczony; kolumny są stylu jońskiego. Na szczycie góry, u któréj stóp leży miasto i świątynia, na 700 stóp wysoko, są ułamki wielkiego niebieskawo - czerwonego porfiru, niejako mocne żyły granitu, z którego Rzymianie tak wiele w Europie stawili monumentów, które do dziś we Włoszech mogą być widziane. Rzymianie nazywali tę górę Gebel-Dochân mons porphyrites. Opuściwszy o $4\frac{1}{2}$ tę okolicę, jechaliśmy szybko do Moie-Mezaid, dokąd przybyliśmy o godzinie 7. Źródło to nie jest zbyt wielkie, lecz nigdy nie wysycha. Tutaj piły wielbłądy po 6. dniach pierwszy raz.

W następnym dniu opuściliśmy Moie-Mezaid, i wkrótce wyszliśmy zupełnie z gór na szeroką płaszczyznę, któréj widok nam był bardzo miłym; albowiem od 12. dni nie wyszliśmy z gór, tamujących nam otwarty i daleki widok. Na horyzoncie ku północno-zachodniéj stronie wystrzelił wierzchołkiem swoim na 6000 stóp wysoki Gebel-Charib, gdyśmy podchodzili na białą górę wapienną Enned, która nam była nowém zjawiskiem; w całym widokręgu było to jedno tylko pasmo gór neptuńskiego pochodzenia, wszystkie inne plutońskiego. W południe osiągnęliśmy ją i rozłożyliśmy obóz na kilka godzin drogi za nią w okolicy, opływającéj w palmy i słoną wodę. Droga nasza wiodła nas potém poczęści wzdłuż strumyka, który szemrząc wił się po dolinie granitowéj góry. Wyszedłszy z niéj zadziwił nas otwarty na bliskie morze widok i na potężną górę Sinai — sam koloryt téj pojedyńczéj, lecz wspaniałéj okolicy, był przez oświecenie zachodzącego słońca dziwnie pięknym. Teraz ciągnęliśmy mając zawsze widok na morze, z nim równolegle ku północy do Gebel es Seit, góry oliwnéj, którąśmy dopiéro w drugim dniu około południa osiągnęli. Daleko w ląd wystająca zatoka morska tegoż imienia przedłużyła nam drogę do południowego końca góry, którąśmy przeszli, i która dotąd ukrywała przed nami okręt po nas z Kzeir przysłany. W południe przybyliśmy do okrętu, lecz dopiéro 3. godziny po nas przybyły wielbłądy obładowane, musiały one bowiem jeszcze daléj obchodzić, jak my. Po przeniesieniu rzeczy na okręt, zapłaciwszy poganiaczom wielbłądów $1012\frac{1}{2}$ piastru — 71 tal. — oprócz podarków, odwiedziłem z prof. Lepsiusem o półgodziny drogi oddalone rowy oliwne, od których góra ma swoje imię. Ziemny ten oléj jest przyczyną wnioskowania, że się tam miały znajdować warstwy kamiennych węgli; ztąd téż wice-król zachęcony szczególniéj przez Emm-Bee, rozkazał ich się dokopywać, lecz napróżno; cisnąca się bowiem morska woda, nie dająca się nawet pompą zwyciężyć, którą na ten cel z Kairo z wielkim kosztem sprowadzono, psuła zawsze wszystkie prace. Z téj to przyczyny wpadł Emm-Bee u Mohameda Alego w niełaskę. Idąc wzdłuż morskiego brzegu poiliśmy się widokiem mnóstwa koszynili, korali i innych zwierząt morskich najrozmaitszych kolorów i kształtów; w oceanie atlantyckim i w morzu środziemném nie widziałem ich w takiéj rozmaitości i masie. Najwięcéj mnie dziwiło, że nigdzie w czerwoném morzu nie mo-

żna było spostrzedz właściwych czerwonych korali, oprócz tak nazwanych „organowych" korali. Ja zaś przeciwnie wyobrażałem sobie, że tamże najwięcéj znajdę czerwonych korali. Przy świetle księżyca mieliśmy jeszcze czas pójścia do kąpieli, która nas wielce wzmocniła.

Dopiero około północy odbiliśmy od Gebel es Geït, płynąc ze słabym wiatrem, który późniéj zupełnie ustał, tak, iż aż do Tur przez cały następny dzień musiano wiosłować. Miasto to leży na północ. Skorośmy do niego zawinęli, wysiedliśmy choć późno w wieczór, płynąc na gondoli z okrętu na ląd, a tém samém pierwszy raz na ziemię azyatycką. W mieście wyszukaliśmy angielskiego agenta, Mikołaja Milonas, Greka rodem; cała zresztą ludność tego miasta składa się z Greków. Agent ten częstując nas kawą, pokazywał nam zaświadczenia osób podróżujących, w stósunkach z nim żyjących, pomiędzy któremi były również pisma panów Hemprich, Ehrenberg i Isenberg z żoną. Mówił cokolwiek językiem włoskim, przez co nam był wielce pomocnym przy wynajęciu wielbłądów, którycheśmy do klasztoru sinajskiego potrzebowali. Lecz żeśmy z kim innym mieli do czynienia, jak z Arabami, poznaliśmy wnet; ludzie ci wymagają, ażeby się z nimi powolniéj i grzeczniéj obchodzono, jak z poddanymi w Egipcie, lepiéj nawet jak z wolnymi Arabami. Strzegliśmy się téż okładać ich batogami, które u Egipcyan są nieodzownie konieczne, i na których karania tego zwykle się używa. Tego samego wieczora nie zgodziliśmy się jednakże z tymi upartymi Arabami, wymagali bowiem od nas za wynajęcie jednego wielbłąda na 2 dni, 50 piastrów — $3\frac{1}{2}$ tal., podczas gdyśmy im tylko 1 tal. hiszpańskiego — 22 piastry dawali. Następnego dnia używał Lepsius wszelkich środków, ażeby tę niezmierną cenę zniżyli, lecz prawie naprózno; wiedząc bowiem, że się bez nich obejść nie możemy, opuścili tylko 10 piastrów. Lecz za to wynajęliśmy tylko 3. wielbłądy zamiast 8. i wzięliśmy z sobą kilku tylko służących i cokolwiek rzeczy. Professor Lepsius jechał na czarnym ośle, któregośmy już z Teb używali; tłumaczowi Józefowi, albo Juzufowi, jak mówią Arabowie, kucharzowi Achmetowi i mnie dostały się 3 ciężko obładowane wielbłądy. Okręt wziąwszy z Tur wody do picia, odpłynął do Mersa-Abu-Selime, na przeciwko Sarâbit el Châdem, my zaś, otrzymawszy od jednego w mieście obecnego księdza pozwolenie odwiedzenia klasztoru, wyruszyliśmy przed południem o godzinie 11. Trzeba mi jeszcze nadmienić, że Tur leży nad dość dobrze obwarowaną zatoką, budynki ma wielkie, poczęści dwupiętrowe, budowane z korali, którą są lekkim i zarazem mocnym materyałem do budowania; na południe od tego miasta leży zapadła arabska cytadela.

W okolicy Tur są znaczne palm daktylowych plantacye i wiele studzien mających dobrą wodę, któreśmy przebyli w ich największéj rozciągłości, napełniwszy potém u ostatniéj studni nasze wory skórzane wodą. Droga do góry Sinai prowadziła potém przez wielki, 6 mil szeroki step piaskowy Geae; — jeszcze przed zachodem słońca, przebyliśmy dolinę Hebron. — Udając się w plutońskie góry, widzieliśmy tu na wstępie napisy, nazwane „Sinai," które były wyryte na wielkich głazach granitowych, nad drogą leżących; rozłożywszy się potém nie daleko od tego miejsca nad źródłem otoczoném palmami, przepędziliśmy spokojnie noc nadchodzącą. Dzień następny był właśnie dniem pierwszego święta wielkanocnego — było to 23. Marca. Dolina Hebron tém bogatszą się okazywała w wodę i w palmy, a w ogóle w rodzajność; im bardziéj w głąb kraju przechodziliśmy. Droga stawała się coraz przykrzejszą, tak, że wielbłądy trzeba było prowadzić; w końcu dolina pięła się w górę; przedarłszy się przez długi grzbiet góry, dostaliśmy się na inną dolinę, Wadi-Salef nazwaną. O 2éj godzinie wdarliśmy się w wąwoz Uakb-Hani; ten wąwóz dopiéro przez Chrześcian został przetorowany; jednakże tak jest wązki, że tylko jeden wielbłąd nim postępować może. W żaden sposób nie mogły były tędy przejść owe 4 tysiące Izraelitów — jakto nie dawno sławny badacz biblii w swych podróżach, zresztą trafnie oddanych, utrzymuje. Dwie godziny prawie potrzebowaliśmy do wejścia na wierzchołek, z któregośmy po pierwszy raz zobaczyli górę Horeb, którą to górę wspomniany badacz historyi, professor Robinson, górą Sinai być mieni. Dążąc ku téj górze, przyszliśmy na równinę górzystą Racha, z któréj spostrzegliśmy w punkcie ścieku wód, ku naszéj wielkiéj radości, klasztór Sinai. Leży on wraz z ogrodem między wysokiemi górami; i tak: na prawo jest Horeb, Safsaf, Charuf i Maria, wraz

z ukrytą Gebel-Muza; po lewéj zaś stronie wznosi się Gebel ed Der (góra klasztorna), a za klasztorem Gebel-Menaga; daléj jeszcze na prawo znajdują się dwa ogrody. Nie podobno wyrazić, jak wielki wpływ wywiera na umysł człowieka bujna zieloność drzew owocowych, i wysmukłych a posępnych i ciemno-zielonych cyprysów! Świecą one jakby w złoto oprawne szmaragdy. Z tego miejsca zapatrywałem się na górę Sinai; na téjto równinie mieli się, według professora Robinsona, Izraelici zgromadzić i odebrać z rąk Mojżesza dziesięcioro bożych przykazań. Czy ten wniosek prawdziwy — niżéj o tém pomówię. — Z tęsknem a niezwykłém uczuciem, które widok okolicy sławnéj zdarzeniami biblijnemi wzbudził, pożegnaliśmy ową okolicę, dążąc ku klasztorowi. Była to piąta godzina, a jeszcze przed zachodem słońca trzeba nam było stanąć w klasztorze, aby jeszcze na dniu tym być weń przyjętym. Właśnieśmy stanęli w porę, bo o szóstéj godzinie byliśmy już przed bramami, — otoczeni mnóstwem ludu, oczekującego na rozdanie chleba przez zakonników klasztornych; — jest to prawo służące na okół klasztoru mieszkającym poddanym, za które ich wolni Arabowie nienawidzą. Przodkami ich bowiem byli ludzie, którzy za panowania cesarza Justyniana, przysłani zostali po ufundowaniu tegoż klasztoru na jego obronę i tutaj osiedli. Bylito naturalnie Chrześcianie; późniéj dopiéro stali się Mahometanami, którymi są do dziś dnia jeszcze. — List nasz przywiązaliśmy do sznuru nam spuszczonego, który potém znowu wciągniono. Po przeczytaniu listu i uznaniu go za prawdziwy — spuszczono linę z pętlicą i przez wchód na 29 stóp wyniesiony i oknu podobny, którą za pomocą windy w górę wciągniono, rzeczy nasze najprzód wciągniono. Na górze przyjął nas prior Nikodem, człowiek wysoki, stary i ponury — lecz jeszcze dość żwawy, który nas przez tłumacza — ekonoma kościoła — wypytywał, mówiąc nowo-greckim językiem; ten zaś naszemu tłumaczowi powiadał to po arabsku, który nam wszystko na język francuski tłumaczył. Prowadził nas potém prior przez kurytarze na górę, gdzie nam dał dwa pokoje. Na kurytarzu prosił nas usiąść w starożytne krzesła z poręczami, rozkazawszy przyrządzić kawy na sposób wschodni. Lecz na naszą pociechę wnet nas opuścił; byliśmy bowiem strudzeni i wcale nie usposobieni do prowadzenia nudnéj z nim rozmowy. — Natychmiast więc udaliśmy się do pokojów, gdzieśmy się na rozłożone dywany porzucili. — W tém położeniu i przekonani o naszéj samotności, oddaliśmy się myślom i wrażeniom, które nam podczas podróży w pamięci utkwiły. Przerwał nam nasze słodkie marzenia kucharz klasztorny, stara, pocieszna figurka w zakonnym ubiorze, wołając nas na wieczerzą, uniewinniając się zarazem, że nie dał mięsa na stół, gdyż właśnie post przypadał. Jak wiadomo, przypada wielkanoc u Greków, pięć tygodni późniéj, jak u nas. Wieczerza była tylko dla nas przygotowana; składała się ona z grzybka, ryżu, oliwy, z dobrego chleba i daktylowego likieru, który zakonnicy sami palą. — Naczynia były porcelanowe i szklanne; nie brakło także noży i widelców, co jest na wschodzie osobliwością. — Zajadaliśmy smacznie, bo dawno już nie mieliśmy podobnego jedzenia, wychwalając przytém klasztór, więcéj z widoków osobistych, niż dla zakonników w nim przebywających; mieliśmy już bowiem z domu złe o nich wyobrażenie. Ich lenistwo, chciwość i ciemnota wzbudzają przeciw nim odrazę. Mieszkając całe życie w owych stronach, ani tyle nie wiedzą, żeby mogli podróżnym wskazać i opisać miejscowość. Towarzyszą oni wprawdzie podróżnym w wycieczkach w okolice klasztoru, wskazując jak najdokładniéj miejsca zdarzeń biblijnych; lecz to też jest z ich strony wszystkiem; w nagrodę zaś za podjęte podróże wymagają znacznych bardzo podarków pieniężnych. Czas całego życia prawie spędzają na cerémonialném i mało wzniosłego ducha mającém nabożeństwie, — nie robiąc żadnego prawie użytku z dobréj biblioteki, która posiada 1700 tomów, i istotnie ani wiedzą, jakie dzieła w swéj bibliotece posiadają. Jeżeli bibliotekę chce obejrzeć jaki podróżny, natenczas otwierać trzeba najprzód szczelnie i wielorako pozamykane okna i drzwi, a dopiéro można się dostać do zakurzonych ksiąg, które zresztą ani tkniętemi nie bywają. Nazajutrz w drugie święto wielkanocne oglądaliśmy klasztór wewnątrz; jestto mieszanina uliczek, zakrytych ganków, domów, sklepów, studzien i bram z pięknym w samym środku kościołem, zdumiewającym swą wewnętrzną wspaniałością, ozdobami i niezmierném bogactwem. Dwa rzędy granitowych filarów, formują trzy nawy, z których średnia

podwójną ma szerokość pobocznéj nawy. Ogromne i piękne pająki i liczne lampy wiszą u sufitu; zapalają je prawie wszystkie podczas nabożeństwa. Na ścianach i filarach wiszą starożytne malowidła olejne wraz z robotami tkackiemi. Ołtarz wchodzącemu najpierw wpada w oczy, największą na siebie zwraca uwagę przez swój przepych, który szczególniéj obrazem roboty mozaikowéj podwyższonym zostaje. Posadzka świątyni jest grubéj mozaikowéj roboty z marmuru, porfiru i kamienia „Pudding" zwanego. Na wysokim suficie drewnianym przebijają się złote gwiazdy w zieloném polu, w którém na przemianę wyrobione ze szkła słońce i księżyc. Za ołtarzem umieszczone sanctissimum na miejscu owego krza gorejącego; wstępujący tutaj, równie jak Mojżesz zdjąć musi obuwie. Posadzka wysłana tu kosztownemi dywanami; ostatnie zaś miejsce w formie półkola za ołtarzem, pokryte jest szczerośrebrną blachą, na któréj się wznosi ołtarz w kształcie stołu; zawieszone na nim trzy lampy, goreją bezustannie. Starożytne, wielce szacowne malowidła, zdobią ten przybytek; za tą zaś przestrzenią zewnątrz kościoła pokazują jeszcze ostatnią odrośl gorejącego krzaku, która się po obok stojącym cyprysie pnie w górę. — Oprócz studni, od Mojżesza pochodzącéj, jest jeszcze inna w klasztorze, u któréj Mojżesz miał poić owce Jetrego. Z tego się pokazuje, że zakonnicy, z przyczyny wygody i bezpieczeństwa, wszystkie ważniejsze biblijne sceny i zdarzenia w swém pobliżu umieszczają. — Obiadowaliśmy, według naszego życzenia, w towarzystwie zakonników, których było obecnie oprócz priora dwudziestu czterech; czterech dopiero odebrało święcenia na księży — reszta zaś była lajkami. W sali jadalnéj był stół długi z szufladami, z których każdy zakonnik do zachowania noży, widelców, serwety i reszty jednę posiadał. Naczynia stołowe są z cyny wyrobione. — Po krótkiéj modlitwie podano każdemu talerz zupy, składającéj się, z przyczyny postu, tylko z wody i pływających po wierzchu ziół i soczewicy; — przed spożyciem téj zupy, jeszcze się raz modlono na znak dany dzwonkiem przez priora. Podczas obiadu czytał głośno zakonnik stojący na stronie książkę duchowną, a nikt nie wymówił i słowa. — Nastąpiły przy drugiém daniu: wielki groch solonym ukropem sparzony, oliwa, sałata z ziół, młode, surowe cebulki i surowa kapusta. — Po ukończeniu obiadu, modlono się znowu, odprawiając ceremonie przed ołtarzem. — Opuszczano potém pojedyńczo salę, udając się na zewnętrzny ganek na kawę; każdy wypił po dwie filiżanki, nalewając sobie z dużego dzbana; podczas tego tenże sam zakonnik czytał głośno, całując w końcu priora w rękę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Uboga kuzynka.

(Ciąg dalszy.)

„O czémże też tak myślisz Teodorze?" — „Żal ci zająca!" odparł drugi z lekkim ironicznym uśmiechem. „Lecz ty, co masz tak litujące się serce, któreby rade cały świat objąć i przycisnąć do siebie, powinieneś się cieszyć, że jedno stworzenie więcéj po świecie hasa." — „Znowu ironia!" odrzekł drugi z żywością — „i nawet nie przypuszczasz miłości dla drugich z wyparciem się siebie, tego najszczytniejszego uczucia w duszy człowieka." — „Bo we wszystkiem chcę miary, w niczém przesady," odparł z przyciskiem.

„Przesada w takiém uczuciu!" zawołał Henryk zdziwiony. „Czyż ludzie, którym dobro osobiste nie wystarcza, mają się zasklepić w swéj skorupie, i z termometrem w ręku, mierzyć i powstrzymywać gorącość swych uczuć? Oh! gdyby połowa ludzi tak myślała, — niechby przepadła dla szczęścia drugiéj połowy." — „Któżby znów zaprzeczał istnienia uczuć," odrzekł Teodor z zimną powagą: „chyba ten, co nie pomyślał, że między sensualizmem i myślą jest łącznikiem uczucie, a ta troistość stanowi dopiéro ducha człowieka. Lecz one się powinny równoważyć, a żadna nie przechylać swéj szali. Piękne to marzenie odepchnąć świat nogą, i stanąć gdzieś na szczycie wyrojonych światów, chcieć oderwać myśl i czucie od ciała, i poić się boską rozkoszą miłości i poświęcenia. Ale ciało nasze to egoista, ono najpierw chce dla siebie pokarmu i ciepłego odzienia."

„Teodorze! i ty się nie zląkłeś twoich własnych wyrazów!" zawołał Henryk, stawając w miejscu. „Więc ty jak upiór ssałbyś krew drugich, gdyby to było potrzebném do twojéj exystencyi?" — „I otóż znów komentarz do moich słów," odparł drugi z cierpkością. „Chcę myśli, któreby się mogły przyoblec w rzeczy-

wistość a nie marzenia.“ — „Teodorze!“ mówił Henryk uroczystym głosem, utopiwszy pełen uniesienia wzrok w obliczu drugiego: „wszak Bóg zesłał wielu świętych apostołów na ziemię, a iluż z nich nie zdjęło nigdy z piersi swoich krzyża, tego symbolu wiary i poświęcenia? Ich życie było jakby jedną boleścią, jedném cierpieniem! A jednak takie życie, to raj prawdziwy, którego progu nie przestąpi nigdy stopa profana egoisty, ani czoło rozbłyśnie aureolą, lecz ciemne i pochylone szuka bogactw w około. Niebaczny samolub! nie pomyślał, że to tylko pył ziemski! i czémże on być może przy najdrobniejszym promyku tego wieńca, na który Bóg daje najpiękniejsze z gwiazd swoich — bo gwiazdę miłości. A choć czoła świętych apostołów już śmiercią zastygły, gwiazda ich skroni świeci wiecznie dla ziemi. Teodorze! powiedz, czy ich życie marzeniem?“ Teodor okiem obserwatora wpatrywał się w delikatne rysy mówiącego, które pokrasił żywy rumieniec, i w niebieskich oczach błyszczał ogień natchnienia; a choć z jego obojętnego wyrazu twarzy widać, że słowa Henryka nie znalazły echa w jego duszy, nie śmiał przeczyć — bo są ludzie, którzy cnoty naśladować nie chcą, lecz gdzież jest taki, coby jéj poszanowania odmówił? Chyba szatan, co przywdział ciało człowieka. Po téj rozmowie dwóch młodzieńców, zdziwi się każdy jak powiem: że ich stósunek świat nazywał przyjaźnią. Lecz tak się zdawało na pozór, i dawniéj tak nawet było. Henryk zimnego i reflexyjnego Teodora pojął jako człowieka potężnéj woli, i okrył go ideałem, który stworzył w swéj duszy. Długo — długo spoglądał na niego osłoniętego tym urokiem, ale na końcu coraz jaśniéj i wyraźniéj wpatrywał się w jego duszę. Lecz jakże mógł odepchnąć tę dłoń, która go mocno po dawnemu trzymała, a którą niegdyś ujął dobrowolnie? Brakło mu na to odwagi, i wlókł za sobą tę przyjaźń, któréj ciężar nie raz mu czoło zasępił. Teodor zaś strzegł całości tego stósunku, jak każdéj swojéj własności; bo cóż pochlebniejszego i wygodniejszego dla ludzi jego charakteru, jak ukazać światu człowieka ślachetnego, swoim przyjacielem? Po powrocie z polowania rozmowa toczyła się między nimi na pozór jak zwykle, każdemu jednak ciężał w duszy przymus, który dzisiejsza rozmowa tém silniéj rozbudziła. W kilka godzin, kiedy sobie na pożegnanie podali dłonie, i Henryk dosiadł lekkiéj bryczki, każdy z nich lżéj odetchnął.

V.

Od owego wieczora, w którym to nasi kochankowie tak uroczyście wyznali sobie swą miłość, Teodor jeszcze częściéj odwiedzał dom rodziców, lecz swojém zimném napozór postępowaniem umiał usunąć wszelkie podejrzenie romansowéj intrygi, którą prowadził. Dopiéro jak był z Julią sam na sam, o wtedy nie szczędził zaklęć miłośnych, nie szczędził marzących projektów o przyszłém ich szczęściu. A dziewczyna z całą wiarą słuchając słów jego, czuła coraz żywsze i gwałtowniejsze uczucie w duszy. — Tak płynęły tygodnie, miesiące, przeszła zima, nadeszły świątki, a całą rodzinę hrabiostwa zaproszono w gościnę o mil kilka. Nasi kochankowie po kilku dniach niewidzenia, tu się znów ujrzeli. Było to w sobotę przed wieczorem, gości się dużo zjechało, pełno ruchu, gwaru, a Teodor wśród tego wszystkiego siedział bardziéj znudzony i zadumany, niż zwykle. Julia raz po raz ku niemu niespokojnie spojrzała, zapytując wzrokiem: czy nie cierpiący? On ją zrozumiał, zbliżył się do niéj, zagadał kilka słów głośno, a potém szepnął: „Jutro o wschodzie słońca bądź w parku nad brzegiem jeziora.“ Zmieszana — zdziwiona tą propozycyą, odrzekła: „Czy podobna w obcym domu? i śpię w pokoju z twoją matką — nie, to być nie może.“ — „Więc mię nie kochasz,“ odparł zimno, i nie czekając odpowiedzi oddalił się. Znał Juliję i wiedział, że pod tą słodką i spokojną powierzchownością miłość wrzała całą burzą — a któraż istota w takich chwilach nie jest zdolną popełnić najwznioślejszego szaleństwa? Spokojnie ją też zostawił pod wrażeniem swoich ostatnich słów, i choć się do niéj już nie zbliżał, był pewien wygranéj. I tak się též stało. Bo kiedy towarzystwo życząc sobie dobréj nocy, zabierało się do rozejścia, ona zręcznie przesunęła się koło niego i wyrzekła z cicha: „Jak chciałeś będę,“ a on skinął głową, i rzucił jéj uśmiech wdzięczności na podziękowanie! A ona cała pod urokiem tego uśmiechu szła za hrabiną, odbyła wszystkie posługi — mechanicznie uklękła do pacierza i złożyła dłonie, a po chwili dopiero łzy jakiegoś boleśnego roz-

rzewnienia popłynęły po jéj licach. Każdy téż łatwo pojmie stan duszy młodéj kobiety, kiedy ją kilka godzin przedziela od kroku śmielszego, niż jéj przekonanie, a który w chwilach zimnéj rozwagi zdaje jéj się prawie niepodobnym. Ile téż razy Julia w ciągu téj nocy zachwiała się w swojém postanowieniu, ile walk z sobą stoczyła, tenby tylko obliczył, ktoby widział konwulsyjne łamanie rąk, ciche łzy, i słyszał silne serca bicie. A jednak ledwie dzień zabłysnął, a jéj myśli jeszcze się błąkały gdzie zaczerpnąć wsparcia przeciw uczuciu, które ją w wir porywało, kiedy na raz zaszeleściły ciche kroki Teodora, ledwie uchem kochanki dosłyszane, drzwi ścienne z lekka warknęły, a już miłość takiego hartu jéj woli dodała, iż była zdolną znieść z obojętnością szyderstwo całego świata. I bez namysłu, tonąc cała w swém uczuciu, zarzuciła ranne odzienie, włosy ugładziła na czole, spiesznie park przebiegła, i stanęła nad jeziorem. W klombie złotych wierzb, oparty o drzewo, stał Teodor. Postąpił ku niéj i całując ją w rękę zimnemi jak lud ustami, mówił:

„Dziękuję ci Julio żeś przyszła — od kilku dni czuję jakąś tęschnotę i znudzenie, pewnie dla tego, żem nie spoglądał swobodnie w twoje lica, żem słów twoich, li dla mnie powiedzianych, nie posłyszał; patrząc więc na tę łudzącą się przyrodę, i słysząc twego serca bicie, wróci się pokój méj duszy. Przebacz mi Julio, żem cię tu dla tego zapragnął.“ I już czulszy i gorętszy pocałunek złożył na jéj ręku. Ona za całą odpowiedź uścisnęła dłoń jego, i uśmiechnęła się tak wdzięcznym, tak harmonijnym uśmiechem, że podrobiony sztuką wystarczyłby dla dziesięciu salonowych lalek. I tyle téż było potęgi w tym uśmiechu, że nawet zimne Teodora serce oprzéć się mu nie zdołało, bo jego twarz obojętna przybrała wyraz czułości, ujął dziewczynę za rękę i usiedli na darni wśród drzew. Przed nimi jezioro jasne, przezroczyste jak z kryształu, a po za niém, rumieniło i złociło się niebo, strząsając zwolna mgły i chmurki, gotując się na przyjęcie wschodzącego słońca. Ptaki jak pierwsze dzwonki ranka, przelatują z białych gałązek brzóz na złote wierzby, z pośród drzących listków osiny między białe bukiety czeremchy, i ciągle dzwonią piosenki — a słońce coraz jaśniéj wysuwa się na niebo, i na raz całą ognistą źrénicą spojrzało ku ziemi, otoczyło się promieńmi i odzwierciedliło w każdéj kropelce rosy. — Kwiaty z poroztwieranych kielichów wiały wonią w około, a słowik zanucił wschodzącemu słońcu najpiękniejszą z swoich pieśni. I w wiejskim kościółku za jeziorem dzwon uderzył na anioł Pański, jakby dla uzupełnienia modlitwy całéj przyrody, gdzie brakowało tylko ducha człowieczego.

Julia milcząca siedziała obok kochanka; choć żadna chmurka nie przebiegła jéj czoła, choć nic nie mąciło czystości jéj spojrzeń, jednak serce uderzało silniéj i niespokojniéj, niby liście gałęzi nad jéj głową, które zdawały się drzeć poruszone tą ranną modlitwą.

„Teodorze!“ zawołała po chwili z uniesieniem, „jeżeli umrzéć, to w téj chwili z duszą pełną miłości, bo dusza z taką miłością zastygła, wiecznie musi być w niebie.“ I znów z roskoszą spoglądała w daleką okolicę, to na jezioro, w którém słońce tarzało się w tysiąc promieni, jak gdyby kochanka i całą przyrodę chciało do siebie przytulić jednym uściskiem. Teodor nic nie odrzekł, z zadowolnieniem tylko utopił wzrok w dziewczynie, bo znał teoryę uczuć, a poezyą, która rozbrzmiała w duszy Julii, uważał jak swoje dzieło. I zimno zaczął porównywać, czém dawniéj była a czém jest teraz. Samolub! zapomniał, lub nie wiedział, że tylko Bóg w sercu miłość stwarza, a każda piękność ją rozbudza i do życia przywołuje — a cokolwiek ten płomień zatli, zawsze on odbija do Boga, bo jego źródło w nieskończoności. Po chwili znów Julia z całém uniesieniem spojrzała na kochanka, znów usta złożyła do słów miłośnych, kiedy spotkała jego twarz zimną, samolubnym uśmiechem ożywioną. Dreszcz ją przeszedł, odwróciła się, bo to spojrzenie padło jakby lodem na jéj wrzące uczucie, a ten uśmiech przeszył ją na wskróś dziwnym jakimś przestrachem. Teraz jeszcze spojrzała mu w lica, a na dnie spojrzenia dostrzegła jego duszę.

Wszak są chwile w życiu człowieka, gdzie myśli toną w uczuciu, a duszy zdaje się brakować tak mało, żeby wzleciała ku niebu!

W tych chwilach pełni ducha, kiedy spojrzymy w oblicze drugiego, niknie obsłona cielesna jak lód pod gorącém okiem słońca, i bezpośrednio zaglądamy w głąb jego serca.

Julia była w téj chwili natchnienia, i pierwszy raz zajrzała duszą w duszę kochanka — i bez wiedzy z przerażeniem odsunęła się od niego. Teodor zdziwiony, zmięszany, ujął jéj dłonie, wołając spiesznie: „Julio! ty mię nie kochasz! ty mię się lękasz, a ja cię w téj chwili silniéj niż kiedykolwiek miłuję.“ I w istocie obrażona miłość własna, obudziła w je-

go duszy jakieś uczucie, którém radby był przywołał miłość Julii dla siebie; jakieś pragnienie miłości, co w głosie błaganiem zabrzmiało. „Ach! wymów, że mię kochasz?“ i całował jéj dłonie; „powiedz, że moją będziesz na zawsze, na wieki!“ Po dziewczyny licach już łzy płynęły, zniknęło widzenie, które co dopiéro stało przed jéj duszą jak nocna mara, bo słyszała jego słowa miłości, czuła uściśnienie dłoni. „Teodorze mój drogi! choć się nie połączymy, kochać cię będę na wieki.“

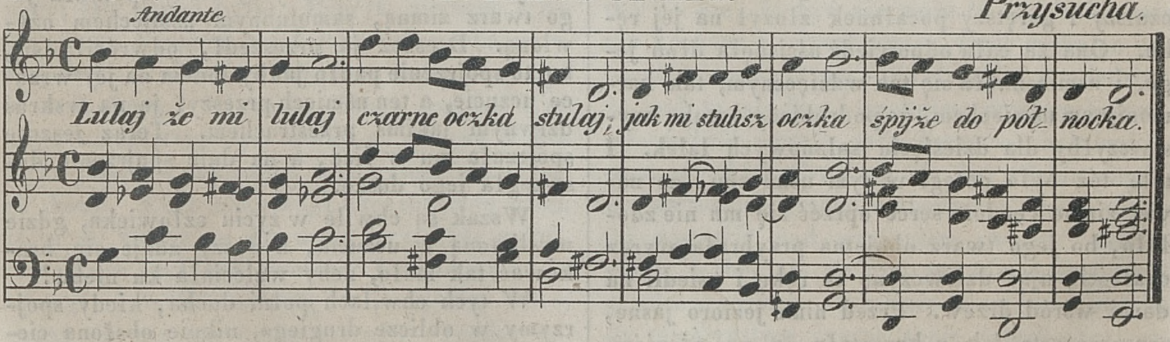
Młodzieniec podniósł czoło, miłośnie spoglądał na kochankę, a potém wymówił z wyrzutem: „Cóż przeszkadza naszemu połączeniu? — Szukam tych przeszkód wszędzie i nie znajduję ich nigdzie, chyba w twojém sercu.“

„Teodorze! gniew twoich rodziców, twój majątek, oburzenie twoich blizkich — może ci zabraknie odwagi do przejścia tego wszystkiego.“ — „Jakto? więc twoja i moja miłość nie miałaby mi dać tyle siły? Julio! ty mię nie kochasz, bo mi wyrzucasz mój majątek. Czym zawinił, że go posiadam? A twoje zalety osobiste czyż nie starczą za skarby całego świata?“ I rzucił jéj jeszcze kilka spojrzeń, kilka słów, zapomniała o wszystkich przeszkodach, wiedziała tylko, że go kocha.

Dość długo przeciągała się ta rozmowa kochanków, Teodor wiele jeszcze wyrzekł zaklęć i przyrzeczeń, a na Julii licach łzy i uśmiech naprzemian błyszczały — każdą zaś zwrotkę miłośną zakończyły westchnienia i długie pocałunki na rękach dziewczyny. Tymczasem słońce nie stanęło w biegu, lecz coraz wyżéj się podnosiło, ruch i głosy ludzkie słychać było w oddali — trzeba się więc było rozstać, rozdzielić. Ale Teodor czuł taką lubość w całéj istocie, jego wyobraźnia tak silnie była uderzoną uczuciem, co jaśniało w licach Julii, że choć dusza nie rozpłomieniła się tym czystym ogniem, lecz dotknięta choć na chwilkę, podniosła się — uślachetniła, i miał widzenie jakby miłości. Przeciągał więc tę chwilę i zatrzymywał niespokojną dziewczynę słowami czułości. Lecz nakoniec ujrzeli przechadzającą się w oddali poważną postać niewieścią. Julia usunęła dłoń młodzieńca, spiesznie się podniosła, i w mgnieniu oka jéj niebieskie ranne odzienie mignęło tylko wśród zieleni drzew. Postać niewieścia mierzonym krokiem zbliżyła się, a Teodor powstał i szedł naprzeciw. „Ach! ce vous mon cher Theodore,“ zawołała z uśmiechem, kiedy się do niéj zbliżał. „Nigdym nie myślała, że jak arkadyjski pasterz siadasz nad brzegami jeziora i pieścisz się piękną naturą.“ Teodor zbliżył się do niéj i całując ją w rękę, powitał słowami: „Bon jour chere tante.“ — „Dites moi mon cher, tam był ktoś z tobą?“ i bystro wpatrywała się w niego. „Nikogo nie było,“ odrzekł jak najobojętniéj, jednak lekki rumieniec oblał mu czoło. — „Mój wzrok osłabiony sprawia mi nie raz takie illuzye. Doprawdy byłabym przysięgła, że obok ciebie siedziała jakaś ondina.“ — „Kiedy nasze jeziora tak prozaiczne, że ich nie mają,“ odparł z uśmiechem. I chcąc nadać inny kierunek rozmowie, spojrzał na książeczkę, którą trzymała w ręku: „Ciocia zawsze czyta.“ — „Nowy livraison revu.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nº 173. P. PIASTUNEK. *Przysucha.*



Text do *Nru.* 173.

Lulajże mi, lulaj, czarne oczka stulaj;
Jak mi stulisz oczka, śpijże do północka.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)